

Temat: Próbny pisemny egzamin maturalny z języka polskiego.

Temat I

**Człowiek – istota godna podziwu, czy słaba i ułomna?
Rozważ problem, odwołując się do fragmentu powieści
Stanisława Lema *Solaris* oraz wybranych tekstów kultury.
Twoja praca powinna liczyć co najmniej 250 słów.**

Stanisław Lem *Solaris*

[...]

– Snaut!

– O co ci chodzi?

– Nie możemy sobie pozwolić na luksus zatajania!

– To nie jest luksus – przerwał mi sucho. – Kelvin, mam wrażenie, że ty wciąż jeszcze nie rozumiesz... albo, czekaj!

Oczy mu zabłyśły.

– Czy możesz powiedzieć, kto tu był?

Przełknąłem ślinę. Opuściłem głowę. Nie chciałem na niego patrzeć.

Wolałbym, żeby to był ktoś inny, nie on. Ale nie miałem wyboru. [...]

– Kobieta, którą...

Nie dokończyłem.

– Zabiła się. Zrobiła sobie... zastrzyknęła...

Czekał.

– Popełniła samobójstwo...? – spytał, widząc, że milczę.

– Tak.

– To wszystko?

Milczałem.

– To nie może być wszystko...

Podniosłem szybko głowę. Nie patrzył na mnie.

– Skąd wiesz?

Nie odpowiedział.

– Dobrze – powiedziałem. Oblizyłem wargi. – Pokłóciliśmy się.

A właściwie nie. To ja jej powiedziałem, wiesz, jak się mówi w gniewie. Zabrałem manatki i wyniosłem się, dała mi do zrozumienia, nie powiedziała tego wprost, ale jak się z kimś żyje

latami, to nie jest potrzebne... Byłem pewny, że tylko tak mówi – że bałaby się to zrobić i to... też jej powiedziałem. Na drugi dzień przypomniałem sobie, że zostawiłem w szufladzie te... zastrzyki; wiedziała o nich – przyniosłem je z laboratorium, były mi potrzebne – powiedziałem jej wtedy, jakie jest działanie. Przestraszyłem się i chciałem po nie pójść, ale potem pomyślałem, że to by wyglądało, jak gdybym wziął jej słowa serio, i... zostawiłem to tak, ale na trzeci dzień jednak poszedłem, to nie dawało mi spokoju. Już... kiedy przyszedłem, już nie żyła.

– Ach, ty niewinny chłopcze...

Poderwało mnie. Ale kiedy spojrzałem na niego, zrozumiałem, że nie kpi. Zobaczyłem go jakby pierwszy raz. Twarz miał szarą, niewypowiedziane zmęczenie leżało w głębokich bruzdach policzków, wyglądał jak człowiek ciężko chory.

– Dlaczego tak mówisz? – spytałem, dziwnie onieśmielony.

– Dlatego, bo ta historia jest tragiczna. Nie, nie – dodał szybko, widząc, że się poruszyłem – wciąż nie rozumiesz. Oczywiście, możesz to najciężej przeżywać, mieć się nawet za zabójcę, ale... to nie jest najgorsze.

– Co ty mówisz! – powiedziałem szyderczo.

– Cieszę się, że mi nie wierzysz, naprawdę. To, co się stało, może być straszne, ale najstraszniejsze jest to, co się... nie stało. Nigdy.

– Nie rozumiem... – powiedziałem słabo. Naprawdę nic nie rozumiałem. Pokiwał głową.

– Człowiek normalny – powiedział. – Co to jest człowiek normalny? Taki, co nigdy nie popełnił niczego ohydneho? Tak, ale czy nigdy o tym nie pomyślał? A może nie pomyślał nawet, tylko w nim coś pomyślało, wyroliło się, dziesięć albo trzydzieści lat temu, może obronił się przed tym i zapomniał, i nie lękał się tego, bo wiedział, że nigdy nie wprowadziłby tego w czyn. Tak, a teraz wyobraź sobie, że naraz, w pełnym dniu, wśród innych ludzi, spotyka TO ucieleśnione, przykute do siebie, niezniszczalne, co wtedy? Co masz wtedy? Milczałem.

– Stację – powiedział cicho. – Masz wtedy Stację Solaris.

– Ale... co to w końcu może być? – powiedziałem z wahaniem – nie jesteś przecież zbrodniarzem ani Sartorius...

– Ale ty jesteś przecież psychologiem, Kelvin! – przerwał mi niecierpliwie. – Któż nie miał kiedyś takiego snu? Rojenia? Pomyśl

o... o fetyszyście, który zakochał się, bo ja wiem, w kawałku brudnej bielizny, który, ryzykując skórą, zdobywa groźbą i prośbą ten swój najdroższy, wstrętny łach, to musi być zabawne, co? Który jednocześnie brzydzi się obiektowi swej pożądliwości i szaleje za nim i gotów jest narazić dla niego życie dorównując, być może, uczuciom Romea dla Julii... Takie rzeczy się zdarzają. Prawda, ale rozumiesz chyba, że muszą też istnieć rzeczy... sytuacje... takie, że nikt nie odważył się ich urzeczywistnić, poza swoją myślą, w jakiejś jednej chwili oszołomienia, upadku, szaleństwa, nazwij to, jak chcesz. Po czym słowo staje się ciałem. To wszystko.

– To... wszystko – powtórzyłem bezsensownie, drewnianym głosem. W głowie mi huczało. – Ale, ale Stacja? Co ma z tym Stacja?

– Ty chyba udajesz – mruknął. Patrzył na mnie badawczo. – Przecież wciąż mówię o Solaris, tylko o Solaris, o niczym innym. Nie moja wina, jeśli to się tak drastycznie różni od twoich oczekiwań. Zresztą przeżyłeś już dość, żeby przynajmniej wysłuchać mnie do końca. Wyruszamy w kosmos, przygotowani na wszystko, to znaczy, na samotność, na walkę, męczeństwo i śmierć. Ze skromności nie wypowiadamy tego głośno, ale myślimy sobie czasem, że jesteśmy wspaniali. Tymczasem, tymczasem to nie wszystko, a nasza gotowość okazuje się pozą. Wcale nie chcemy zdobywać kosmosu, chcemy tylko rozszerzyć Ziemię do jego granic. Jedne planety mają być pustynne jak Sahara, inne lodowate jak biegun albo tropikalne jak dżungla brazylijska. Jesteśmy humanitarni i szlachetni, nie chcemy podbijać innych ras, chcemy tylko przekazać im nasze wartości i w zamian przejąć ich dziedzictwo. Mamy się za rycerzy świętego Kontaktu. To drugi fałsz. Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam luster. Nie wiemy, co począć z innymi światami. Wystarczy ten jeden, a już się nim dławimy. Chcemy znaleźć własny, wyidealizowany obraz; to mają być globy, cywilizacje doskonalsze od naszej, w innych spodziewamy się znowu znaleźć wizerunek naszej prymitywnej przeszłości. Tymczasem po drugiej stronie jest coś, czego nie przyjmujemy, przed czym się bronimy, a przecież nie przywieźliśmy z Ziemi samego tylko destylatu cnót, bohaterskiego posągu Człowieka! Przylecieliśmy tu tacy, jacy jesteśmy naprawdę, a kiedy druga strona ukazuje nam tę prawdę – tę jej część, którą przemilczamy – nie możemy się z tym zgodzić!

– Więc co to jest? – spytałem, wysłuchawszy go cierpliwie.
– To, czegośmy chcieli: kontakt z inną cywilizacją. Mamy go, ten kontakt! Wyolbrzymiona jak pod mikroskopem nasza własna, monstualna brzydota, nasze błazeństwo i wstyd!!!

W jego głosie drżała wściekłość.

– Uważasz zatem, że to... ocean? Że to on? Ale po co? Mniejsza już w tej chwili o mechanizm, ale na miłość boską, po co?! Czy myślisz serio, że chce się z nami bawić? Albo karać nas?! [...]

– Czego właściwie chcesz? Żeby ci powiedział, jakie plany knuje przeciw nam x bilionów metamorficznej plazmy? Być może żadnych.

– Jak to żadnych? – spytałem osłupiały. Snaut wciąż się uśmiechał.

– Powinieneś wiedzieć, że nauka zajmuje się tylko tym, jak się coś dzieje, a nie dlaczego się coś dzieje. Jak? No, zaczęło się to w osiem czy dziewięć dni po tym rentgenowskim eksperymencie. Może ocean odpowiedział na promieniowanie jakimś innym promieniowaniem, może wysondował nim nasze mózgi i wydobyl z nich pewne psychiczne otorbienia.

– Otorbienia?

To zaczęło mnie interesować.

– No tak, procesy oderwane od reszty, zamknięte w sobie, stłumione, zamurwane, jakieś zapalne ogniska pamięci. Potraktował je jako receptę, jako plan konstrukcyjny... przecież wiesz, jak bardzo są do siebie podobne asymetryczne kryształy chromozomów i tych nukleinowych połączeń cerebrozydów, które stanowią substrat procesów zapamiętywania... Plazma dziedziczna jest przecież plazmą „zapamiętującą”. Więc wyjął to z nas, wynotował, a potem, wiesz, co było potem. Ale dlaczego to zostało zrobione? Ba! W każdym razie nie po to, żeby nas zniszczyć. To przyszłoby mu dużo łatwiej.

W ogóle – przy takiej swobodzie technologicznej – mógł właściwie wszystko, na przykład popodstawiać nam sobowtórów.

– A! – zawołałem – to dlatego tak się przestraszyłeś pierwszego wieczoru, kiedy przyszedłem!

– Tak. Zresztą – dodał – może to i zrobił. Skąd wiesz, czy jestem naprawdę tym poczciwym starym Szczurem, który przyleciał tu przed dwoma laty...

Zaczął się cicho śmiać, jakby moje osłupienie dawało mu Bóg raczy wiedzieć jaką satysfakcję, ale zaraz przestał.

[...]

- Więc chcesz uciekać? Czy nie? Jeszcze nie?
Uśmiechnął się.
– Niezłomny zdobywco... nie zakosztowałeś jeszcze tego, bobyś tak nie nalegał. Nie chodzi o to, co chcę, tylko o to, co jest możliwe.
– Co?
– Tego właśnie nie wiem.
– Więc zostajemy tu? Myślisz, że znajdzie się środek...
Popatrzał na mnie, chuderlawy, z łuszczącą się skórą twarzy, porytej brzdami.
– Kto wie. Może to się opłaci – powiedział wreszcie. – O nim nie dowiemy się raczej nic, ale może o nas...
Odwrócił się, podniósł swoje papiery i wyszedł. Chciałem go zatrzymać, ale otwarte usta nie wydały głosu. Nie było nic do zrobienia; mogłem tylko czekać.

Stanisław Lem, *Solaris*, Warszawa 1962, s. 68–76.

Temat II

Napisz rozprawkę problemową na temat: „Reporter – tłumacz kultur czy zwykły turysta?”. Rozważ problem i uzasadnij swoje zdanie na powyższy temat, odwołując się do podanych fragmentów reportażu Ryszarda Kapuścińskiego oraz innego tekstu kultury. Twoja praca powinna liczyć co najmniej 250 słów.

Ryszard Kapuściński *Podróże z Herodotem* (fragment drugi)

Ruch. Podróż. Tak, książka Herodota powstała właśnie z podróży, to pierwszy wielki reportaż w literaturze światowej. Jej autor ma reporterską intuicję, reporterskie oko i ucho. Jest niestrudzony, musi płynąć po morzu, przemierzać step, zagłębiać się w pustynię – zdaje nam z tego sprawę. Zdumiewa nas swoją wytrwałością, nigdy nie skarży się na zmęczenie, nic go nie zniechęca, ani razu nie mówi, że się czegoś boi. Co nim kieruje, kiedy nieustraszony i niestrudzony rzuca się w swoją wielką przygodę? Myślę, że pełna optymizmu wiara, którą my, współcześni, już dawno utraciliśmy: że świat jest

możliwy do opisania. Herodot wciągnął mnie od początku. Często zaglądałem do jego książki, powracałem do niej, do jej postaci, opisywanych scen, dziesiątków opowiadań, niezliczonych dygresji. Coraz to próbowałem wejść w ten świat, rozeznąć się w nim, oswoić. Nie było to trudne. Sądząc po sposobie, w jaki widział i opisywał ludzi i świat, musiał to być człowiek wyrozumiały i przychylny, pogodny i serdeczny brat łąta, swój chłop. Nie ma w nim złości, nie ma nienawiści. Stara się wszystko zrozumieć, dociec, dlaczego ktoś postępuje tak, a nie inaczej. Nie wini człowieka jako osoby, wini system, nie jednostka jest z natury zła, zdeprawowana, nikczemna, zły jest system, w jakim przyszło jej żyć. Dlatego jest żarliwym rzecznikiem wolności i demokracji i przeciwnikiem despotyzmu, jedyńowładztwa i tyranii, gdyż uważa, że tylko w tym pierwszym wypadku człowiek ma szansę zachowywać się godnie, być sobą, być ludzki. [...] Jednocześnie Herodot stawia sobie cel najbardziej ambitny: utrwalić dzieje świata. Nikt tego przed nim nie próbował uczynić. Jest pierwszy, który wpadł na taką myśl. Ciągłe zbierając materiały do swojego dzieła i przepytując świadków, bardów i kapłanów, spotyka się z tym, że każdy z nich zapamiętuje co innego, co innego i inaczej. W dodatku na wiele stuleci przed nami odkrywa ważną a przewrotną i podstępłą cechę pamięci – ludzie zapamiętują to, co chcą zapamiętać, a nie to, co działo się w rzeczywistości. Każdy bowiem barwi ją po swojemu, każdy w swoim tyglu czyni z niej własną miksturę. Dotarcie więc do przeszłości jako takiej, takiej, jaka była ona naprawdę, jest niemożliwe, dostępne są nam tylko różne jej warianty, mniej lub bardziej wiarygodne, mniej lub bardziej dziś nam odpowiadające. Przeszłość nie istnieje. Są tylko jej nieskończone wersje. Herodot ma świadomość tej komplikacji, ale nie poddaje się, prowadzi dalej swoje dociekania, przytacza różne opinie o jakimś wydarzeniu albo odrzuca je wszystkie jako absurdalne, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, nie chce być biernym słuchaczem, pasywnym kronikarzem, pragnie czynnie uczestniczyć w tworzeniu tej wspaniałej sztuki, jaką jest historia – dzisiejsza, wczorajsza, jeszcze dawniejsza.

Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Kraków 2004, s. 252–253.

Ryszard Kapuściński *Podróże z Herodotem* (fragment drugi)

Do Chin dotarłem piechotą. Najpierw przez Amsterdam i Tokio doleciałem samolotem do Hongkongu. W Hongkongu miejscowa kolejka dowiozła mnie do małej stacyjki w szczerym polu – skąd, jak mi powiedziano, przeprawię się do Chin. W istocie, kiedy stanąłem na peronie, podeszli do mnie konduktor i policjant i pokazali widoczny daleko na horyzoncie most, a policjant powiedział: – China! Był Chińczykiem w mundurze policjanta brytyjskiego. Podprowadził mnie kawałek asfaltową szosą, po czym życzył mi dobrej drogi i zawrócił na stację. Dalej szedłem sam, dźwigając walizkę w jednej i wyładowaną książkami torbę w drugiej ręce. Słońce paliło niemiłosiernie, powietrze było gorące i ciężkie, natrętnie brzęczały muchy.

Most był krótki, ze skośną, metalową kratą, pod nim płynęła na wpół wyschnięta rzeka. Dalej stała wysoka brama, cała w kwiatach, jakies napisy po chińsku i u góry herb – czerwona tarcza, a na niej cztery gwiazdy mniejsze i jedna większa, wszystkie w kolorze złotym. Przy bramie stała duża grupa strażników. Uważnie obejrzelili mój paszport, spisali dane w dużej księdze i powiedzieli, abym poszedł dalej, w kierunku widocznego pociągu, do którego było może pół kilometra. Szedłem w upale, z trudem, spocony, w kłębach much.

[...] Pociąg coraz to zatrzymywał się, na małych stacyjkach wsiadali nowi i nowi ludzie. Ubrani byli jednakowo. Mężczyźni w ciemnoniebieskich, drelichowych, zapinanych pod brodą kurtkach, kobiety w kwiciastych, identycznie skrojonych sukienkach. Wszyscy jechali wyprostowani, milczący, twarzą do kierunku jazdy. Kiedy wagon już się zapełnił, na jednej ze stacji wsiadło troje ludzi w mundurach koloru jaskrawego indygo – dziewczyna i dwóch jej pomocników. Dziewczyna wygłosiła do nas silnym i zdecydowanym głosem dość długie przemówienie, po którym jeden z mężczyzn rozdał wszystkim po kubku, a drugi nalał każdemu z metalowej konewki zielonej herbaty. Herbata była gorąca, pasażerowie dmuchali, żeby ją ostudzić, i głośno siorbali małymi łykami. Nadal panowało milczenie, nikt nie odezwał się słowem. Próbowałem wyczytać coś z twarzy siedzących ludzi, ale były nieruchome, nie wyrażały nic.

[...] Po trzech dniach podróży dotarłem do Pekinu. Było zimno, wiał chłodny, suchy wiatr, który zasypywał miasto i ludzi tumanami

szarego pyłu. Na ledwie oświetlonym dworcu czekało na mnie dwóch dziennikarzy z młodzieżowej gazety „Czungkuo”. Podaliśmy sobie ręce, a jeden z nich, stanąwszy sztywno, w postawie niemal zasadniczej, powiedział:

– Cieszymy się z twojego przyjazdu, ponieważ dowodzi on, że polityka stu kwiatów, ogłoszona przez przewodniczącego Mao, przynosi owoce. Przewodniczący Mao zaleca nam bowiem współpracować z innymi i dzielić się doświadczeniami, a to właśnie robią nasze redakcje, wymieniając stałych korespondentów. Witamy cię jako stałego korespondenta „Sztandaru Młodych” w Pekinie, a w zamian nasz stały korespondent w odpowiednim czasie pojedzie do Warszawy.

[...] Wyobrażałem sobie: dostanę pokój w jednym z tych domków, które kryły się za glinianymi lub piaskowymi murami ciągnącymi się w nieskończoność wzdłuż pekińskich ulic. W pokoju będą – stół, dwa krzesła, łóżko, szafa, półka na książki, maszyna do pisania i telefon. Będę odwiedzał redakcję „Czungkuo”, pytał o nowości, czytał, wyjeżdżał w teren, zbierał informacje, pisał i wysyłał artykuły, a także, cały czas – uczył się chińskiego. Także zobaczę muzea, biblioteki i zabytki architektury, spotkam profesorów i pisarzy, w ogóle spotkam mnóstwo ciekawych ludzi w wioskach i w miastach, w sklepach i w szkołach, pójdę na uniwersytet, na rynek i do fabryki, do świątyn buddyjskich i do komitetów partyjnych, a także do dziesiątków innych miejsc wartych poznania i obejrzenia. Chiny to wielki kraj, mówiłem sobie i z radością myślałem, że oprócz pracy korespondenta i reportera; będę miał nieskończoną ilość wrażeń i przeżyć i że kiedyś będę stąd wyjeżdżał bogatszy o nowe doświadczenia, odkrycia, wiedzę. Pełen najlepszych myśli, poszedłem z kolegą Li na piętro do pokoju. Kolega Li udał się do pokoju naprzeciw. Chciałem zamknąć drzwi i wtedy stwierdziłem, że nie mają one ani klamki, ani zamka, a w dodatku zawiasy są tak ustawione, że drzwi są zawsze otwarte na zewnątrz. Zauważyłem też, że drzwi pokoju kolegi Li są tak samo otwarte na korytarz i że cały czas może mnie mieć na oku. [...] Nazajutrz rano kolega Li zabrał mnie do redakcji „Czungkuo”.

[...] Jakoś zostało to wszystko tak obmyślane i przeprowadzone, że w czasie całej wizyty nie załatwiliśmy żadnej sprawy, nie został omówiony, a nawet poruszony choćby jeden konkret. O nic mnie nie pytali ani nie dali mi szansy zapytać, jak ma dalej wyglądać mój pobyt i moja praca. Ale, tłumaczyłem sobie, może tu takie panują zwyczaje? Może nie wypada przystępować od razu do rzeczy? Czytałem już wielokrotnie o tym, że Orient ma inny, bardziej powolny rytm życia, że każda rzecz ma swój czas, że trzeba być spokojnym i nauczyć się cierpliwości, nauczyć się czekać, jakoś wewnętrznie wyciszyć się i znieruchomić, że Tao ceni nie ruch, ale bezruch, nie działanie, ale beczynność, i że każdy pośpiech, gorączka i gwałt budzą tu niesmak jako przejawy złego wychowania i braku ogłady.

[...] Kolega Li, skończywszy rozmowę telefoniczną w swoim pokoju, odłożył słuchawkę i przyszedł powiedzieć mi, że jutro jedziemy na Wielki Mur.

[...] Bo Wielki Mur – a jest to mur-gigant, mur-twierdza, ciągnący się tysiące kilometrów przez bezludne góry i pustkowia, mur – przedmiot dumy i, jak wspomniałem, jeden z cudów świata – jest zarazem dowodem jakiejś ludzkiej słabości i aberracji, jakiegoś straszliwego błędu historii, jakiejś niemożności porozumienia się ludzi w tej części planety, niemożności zwołania okrągłego stołu, aby wspólnie naradzić się, jak by pożytecznie zużyć nagromadzone zasoby ludzkiej energii i rozumu. Okazało się to mrzonką, bo pierwszy odruch wobec ewentualnych problemów był inny – zbudować mur. Zamknąć się, odgrodzić. Gdyż to, co przychodzi z zewnątrz, STAMTĄD, może być tylko zagrożeniem, zapowiedzią nieszczęścia, zwiastunem zła, ba – złem najprawdziwszym. Ale mur nie tylko służy obronie. Bo broniąc przed tym, co grozi z zewnątrz, pozwala również kontrolować to, co dzieje się wewnątrz. Bo w murze są jednak przejścia, są bramy i furtki. Otóż strzegąc tych miejsc, kontrolujemy, kto wchodzi i wychodzi, pytamy, sprawdzamy, czy są ważne pozwolenia, notujemy nazwiska, przyglądamy się twarzom, obserwujemy, zapamiętujemy. Tak więc mur taki to jednocześnie tarcza i pułapka, osłona i klatka.

[...] Do Wielkiego Muru jedzie się godzinę drogą na północ. Najpierw przez miasto. [...] Miasto jest żółto-granatowe. Żółte są ściany biegnące wśród ulic, a granatowe drelichy, w które ubrani są ludzie. Te drelichy to zdobycz rewolucji – tłumaczy kolega Li. Dawniej ludzie nie mieli się w co ubrać i umierali z zimna. Mężczyźni są ostrzyżeni na rekruta, płęć żeńska, od dziewczynek po staruszki – na Piasta: krótkie grzywki i włosy z tyłu też krótkie. Trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby rozróżniać twarze, ale z kolei natarczywe przypatrywanie się nie jest grzeczne. Jeżeli ktoś niesie torbę, to ta torba jest identyczna jak wszystkie inne. Podobnie – czapki. Jak ludzie, kiedy jest duże zebranie i muszą zostawić w szatni tysiąc takich samych czapek i toreb, rozróżnią potem, czyja jest czyja – nie wiem. A jednak oni wiedzą. To dowodzi, że prawdziwe różnice mogą tkwić w najmniejszych drobiazgach – na przykład inaczej przyszytym guziku, a niekoniecznie w rzeczach wielkich, o dużej skali.

[...] W miarę jak mijały dni, zacząłem coraz bardziej traktować Wielki Mur jako Wielką Metaforę. Otaczali mnie bowiem ludzie, z którymi nie mogłem się porozumieć, otaczał mnie świat, którego nie byłem w stanie przeniknąć. Moje położenie było coraz bardziej dziwaczne. Miałem pisać – ale o czym? Prasa była tylko po chińsku, więc nic nie rozumiałem. Z początku prosiłem kolegę Li o tłumaczenie, ale każdy artykuł w jego przekładzie zaczynał się od słów: „Jak naucza przewodniczący Mao” albo „Idąc za wskazaniem przewodniczącego Mao” itd., itp. Ale czy tak naprawdę było tam napisane, skąd mogłem wiedzieć? Jedyнным łącznikiem ze światem zewnętrznym był kolega Li, ale to on był właśnie najszczelniejszą barierą. Na każdą prośbę o spotkanie, o rozmowę, o podróż odpowiadał – przekażę to redakcji. Nigdy jednak nie było potem odpowiedzi. Nie mogłem też wychodzić sam – kolega Li szedł ze mną. Zresztą dokąd mogłem pójść? Do kogo? Nie znałem miasta, nie znałem ludzi, nie miałem telefonu (miał go tylko kolega Li).

[...]